

Jest to, ciągle roboczy, fragment rodzinnej opowieści, którą piszę dla moich wnuków pokazując im nie tylko ich korzenie, ale także umarłe i odgrzebane przezemnie codzienności w których żyli moi i ich przodkowie, zwykli ludzie pnący się od najniższych warstw społecznych ku wyższym. I także mój codzienny świat, którego nie mała część także już znalazła się na cmentarzach. Codziennosc jest najciekawsza i najszybciej pochłania ją nicość. Moze więc zachowane jej okruchy zaciekawia kogos z Państwa, którzy zabłdzicie na te strony. Tekst jest niepublikowany, więc jeśli komus przysłaby myśl aby go przedrukować w całości lub we fragmentach to proszę o kontakt.

RODZINA I HISTORIA.

„Działo się w Kaliszu dnia siódmego grudnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, o godzinie czwartej po południu. Stawił się Marian Kuczyński, kupiec z Kalisza, trzydzieści jeden lat mający, w obecności świadków Ignacego Kuczyńskiego, rolnika i Stanisława Kuczyńskiego urzędnika, obydwóch pełnoletnich z Kalisza i okazał nam dziecie płci męskiej, oświadczając, iż urodziło się w Kaliszu, dwudziestego drugiego listopada o godzinie szóstej po

południu z jego małżonki Marii z domu Peceld, dwadzieścia siedem lat mającej. Dziecięciu temu na chrzcie świętym dziś odbytym nadano imiona Marian – Waldemar, a rodzicami chrzestnymi byli: Stanisław Kuczyński i Anna Peceld. Akt ten stawającemu i świadkom przeczytany, przez Nas podpisany został. Utrzymujący Akta stanu Cywilnego – Ks. Stefan Martuzalski.”.

I. GENEZIS

Kiedy rodziłem się w środę 22 listopada 1939, Polska była powalona przez Niemców i Rosjan i rozczłonkowana. Kalisz, moje rodzinne miasto już od 1 listopada nazywał się Kalisch i leżał w Wartheland (w „Kraju Warty”), formalnie włączonym do Rzeszy. Ten fakt zdecydował też o imieniu, które używam przez całe życie. Zarządzono bowiem, że dziecko urodzone w polskim domu ma nosić drugie imię wzięte z urzędowej listy. Tak mi wyjaśniała imię Waldemar moja mama, a skoro już musiała wybierać, dała mi na drugie oczywiście imię ordynata Michorowskiego, bo „Trędowatą” Mniszkówny znała, pewno z filmu. Imię Waldemar jak raz znalazło się na liście, ze względu na germański rodowód. Pierwsze wzięłem po ojcu Marianie Kuczyńskim, chłopskim synu, z rodziny licznej, której

zamożność – z przed pokolenia - gościła już tylko w zakamarkach pamięci. Od mojej kuzynki, Marysi Wicher, która jeszcze kilka razy przewinie się przez tę opowieść, dowiedziałem się trochę o ich stole. Jadano często kartofle, kraszone smalcem z kwaśnym mlekiem. Chleb pieczono w domu, miał być bardzo dobry, smażono często placki kartoflane, plindzami, zwane w kaliskim. To także w kuchni mojej mamy był częsty przysmak, smakowały świetnie również posypane cukrem. Mięsa jadano tłuste, bardzo kaloryczne. Kluski, czy kartofle, mawiano też z poznańska pyrki, a na poznaniaków mówiono „poznańskie pyry”, otóż do ich jedzenia używano raczej łyżek niż widelców, a do mięsa służyły często palce. Widzę jeszcze dziś – opowiadała Marysia – jak babce i mojej matce, jedzącej jakiś boczek, tłuszcz ścieka po rękach, aż do łokci.

Urodziłem się w domu zbudowanym w XIX wieku, w roku 1884 jak głosił napis na jednej z dachówek, zastępowanych w roku 1994, lżejszym pokryciem szwedzkim, lub w 1888 wedle urzędowej dokumentacji budowlanej. Same dachówki wytworzone były w roku 1879, o czym też zaświadczał wyciśnięty w glinie napis, pewno w jednej z pobliskich cegielni, może tej leżącej kilkaset metrów dalej i należącej do Hybsiów, rodziny, z którą Kuczyńscy mieli się niebawem

połączyć przez małżeństwo swych dzieci. Dom wybudował pradziadek, miał na imię Stanisław, a nazwisko dwuczłonowe – Kut – Kuczyński. Wśród rodziny krążyła opinia, że ów pierwszy człon był świadectwem szlacheckiego rodowodu. Wiadomo, że co drugi Polak to szlachcic, ale ja to między bajki kładłem widząc w przedrostku raczej słowo „kuty”, cwaniak, lub „kutwa” – skąpiec, i coś musiało być na rzeczy, bo mama powtarzała, że „Kuczyńscy to kutwy”. O skąpstwie jednej z córek Stanisława krążyła anegdota, że smarowała kromkę chleba zawsze po mniejszej powierzchni. Mogła to wynieść z domu, bo o matce Ludwice, a mojej prababce, przetrwała taka oto opowiadka, pochodząca od jej synowej, babki Antoniny, o obu jeszcze będzie mowa. Babka „Antośka”, jak na nią mawiano, dobra kucharka, na pensji warszawskiej wyuczona, wkrótce po ślubie i przeniesieniu się do domu męża i jego rodziców ugotowała kapuśniak na żeberkach. Po czym żeberka obsmażyła i wraz z kartoflami podała, jako drugie danie, co prawie oburzyło prababkę. „Oloboga, dziewucho, to ty podajesz obiad z dwu dań? Jakby my tak robili to by my do niczego nie doszli”.

Ale wróćmy do dwu członów, przecież szlachecki człon nazwiska nie mógłby przegrać z pospolitym Kuczyńskim? W warszawskiej książce telefonicznej na początku XXI wieku było ich ze trzystu.

Zupełnie nie szlachecką prawdę odsłaniał akt notarialny z 17 maja roku 1895 roku. Dowiedziałem się z niego, że najstarszy znany mi przodek zwał się Wojciech Kut, i chyba nawet nie był gospodarzem tylko wyrobnikiem, bo jego syn Stanisław w akcie notarialnym z roku 1869 występuje jako wyrobnik, czyli osoba bez zawodu zajmująca się do robót rolnych, ale być może i innych. Podobno znał się na murarce i przyłożył osobiście ręce do wybudowania domu, w którym ujrzałem światłość doczesną. Wojciech mógł się urodzić około roku 1815 i prawie na pewno był analfabetą, a to, dlatego, że syn Stanisław, który ujrzał świat w roku 1845 był analfabetą z całą pewnością i to w wieku już dojrzałym. Świadkiem jest ów akt notarialny z roku 1895 podpisany przez niego krzyżykami. Nosił też podwójne nazwisko Kut - Kuczyński. Szczegóły przejścia od Kut do Kuczyńskiego giną w mroku. Ustalić daje się tylko, że zmiana nastąpiła między rokiem 1869, w którym Stanisław pisze się nadal Kut, a 1876 gdy, już w styczniu, pisze się jako Kuczyński nawet bez przedrostka Kut. Relikt ten trzyma się jednak nowego nazwiska do końca wieku. Zmiana nastąpiła zapewne z inicjatywy Stanisława i być może tylko w części rodziny.

Z zachowań urzędowych moich przodków, z występowania w roli świadków narodzin, ślubów i zgonów, wynika też, że często nie

wiedzieli dokładnie, ile mają lat, widać nie przywiązywali do tego wagi ani oni, ani carscy urzędnicy spisujący dokumenty. Z różnych zapisów metrykalnych wynika, że rodzili się w różnych latach. Powodem odejścia od nazwiska było najpewniej jego brzmienie. Z opowiadań matki wiedziałem o przypadkach zmieniania na Zagorzynku źle brzmiących, chłopskich nazwisk, na bardziej szlacheckie. W ten sposób, wedle mamy, zniknęli z Zagorzynka Marchewy i Pierdoły, pewno też inne podobne nazwiska, ale, w kogo się przemienili nie wiem, a gdybym wiedział to i tak bym nie napisał, bo przykro przeczytać, że się pochodzi z Pierdołów, a przecież mogli być zacnymi ludźmi. Po wędrówce przez archiwa wcześniejsze, znajdujące się w Poznaniu, dowiedziałem się, że dziadek Stanisława, a ojciec Wojciecha miał na imię Marcin, i był to ród już w końcu XVIII wieku rozsiadły na Zagorzynku, Zawodziu, Piwonicach i Rypinku. Wiele tu jest jeszcze do odsłonięcia i pewno też korygowania.

Za żonę miał Stanisław, również nie piśmienną, Ludwikę z Frontczaków, córkę Marcina i Antoniny. Jej rodziców węzłem małżeńskim połączył ksiądz 25 czerwca 1837 roku o ósmej rano, pewno u Świętego Józefa, dziś kolegiata Najświętszej Marii Panny. Jakże chciałbym móc wiedzieć więcej o tym poranku czerwcowym z

przez 167 laty, jaki był ten ślub, kto na nim był, jak byli ubrani, jaki bukiet miała panna młoda, co do siebie czuli, jak wyglądało wesele, gdzie się odbywało, co podano? Z aktu ślubu dowiedziałem się, że Marcin miał lat 28, a więc ujrzał doczesność w roku 1809. Był synem Sebastiana i Eleonory, z pokolenia, które na świat przychodziło najpóźniej w latach osiemdziesiątych XVIII wieku. Zapisano w akcie ślubu, że był gospodarzem, ale włości te nie mogły być duże, bo w kręgu jego znajomych pełno jest komorników, wyrobników, służących i parobków (ratajów). Antonina miała wiosen 16. Jest wielce prawdopodobnym, że dostawała męża nie z własnego wyboru, lecz z ugadania między rodzicami. Jest to linia moich prapradziadków po kądzieli.

Prababka, Ludwika, Petronela, bo tak dostała na chrzcie, przysłała na świat o siódmej rano 8 kwietnia 1843 roku. Zastanawiające są te dwa imiona, rzadkie i raczej nie nadawane wśród chłopów. Musiało być, jakieś wydarzenie, które tę akurat kombinację prapradziadkom podsunęło. Zachowała się fotografia prababki Ludwiki, najpewniej z końca lat 90-tych XIX wieku. Solidna tekturkowa. Była przyklejone do albumu, a potem oderwana. Delikatnie, po kawałku usuwałem resztki albumu i oto odsłoniło się, że zdjęcie powstało w atelier bardzo wtedy

znanego w Kaliszu fotografa Boretiego. Ze zdjęcia spogląda na nas leciwa chłopka, o grubych rysach, bez śladów urody, raczej ze śladami trudnego życia, i z rysem pewnej surowości na twarzy, w czepcu i stroju do kościoła, taka wiejska gospodyni. Siedzi na giętym, wiedeńskim krzeselku, przy nie wykwinnym stoliku nakrytym zużytą, koronkową serwetą, obok domu murowanego, lecz nie nowego, bo z opadającymi tynkami. Następne pokolenie to były zupełnie inne twarze.

Pradziadek Stanisław urodził się jedenastego kwietnia 1846 roku, a z aktu chrztu sporządzonego osiem dni później dowiadujemy się, że był synem Wojciecha Kuczyńskiego, rataja, czyli parobka z Zagorzynka i Maryanny ze Skalskich. Prapradziadek miał wtedy lat 40, a jego żona lat 33. O prababce wiem jeszcze, że osiemdziesięciolatką z okładem już będąc straciła wzrok. Ten dramatyczny strzęp z ostatnich lat jej życia, który do mnie dotarł, odbieram, jako coś cennego, jako okruch mozaiki życia bliskiej mi osoby, którą rozsypał czas. Błąkam się po tym umarłym świecie, grzebię, wzniesam tumany przeżutego przez roztocza papieru i czasami wygrzebuję, jakiś ułomek. To jest los poszukiwaczy o rodowodach poślednich, ale też odkrywanie skrawków życia zwykłych ludzi z przed dziesięcioleci czy stuleci, jest może nawet

ciekawsze niż łatwe zapisywanie biografii znanych.

Wedle opowieści mojego stryja, znanego onegdaj w Kaliszu wytwórcy pięknych parkietów, fortunę zawdzięczali Kuczyńscy dziedzicowi, który miał mieć dworów i mająków siedem, a wśród nich osady zwane „Stanisławówka” i „Wojciechówka”. A oto rozmowa ze stryjem, którą nagrałem:

„STRYJ CZESŁAW; I tu właśnie ten nasz dziadek, pradziadek, ten Stanisław był u niego ekonomem. Bardzo był dobry, solidny i uprzejmy i dostał od dziedzica ten dom i dużo ziemi nawet na spłatę, w nagrodę, że był dobry. Później było tak zwane uwłaszczenie i zaczęli to wszystko ciąć na pasy, niefortunnie nieraz to cięli...

JA: Czyli on dostał ziemię od dziedzica jeszcze przed uwłaszczeniem?

WUJ: Tak, przed uwłaszczeniem. Później to rozparcelowali, bo dużo było tej dzieciarni”.

„Stanisławówka” leżała w podkaliskiej wsi Zagórzynek (za górką), dziś dzielnicy Kalisza – Zagórzynek, której ziemia kryła dodatkowe bogactwo - glinę. Jeszcze po wojnie było w okolicy 6 cegielni, z czego cztery czynne, dwie w ruinie, służące dzieciom do zabawy w chowanego i w wojnę. Dwie na pewno, a trzy być może, to była kiedyś

własność Kuczyńskich rozproszona przez podziały majątkowe. Kiedy byłem dzieckiem dymiła jeszcze jedna, Franciszka Kuczyńskiego, brata mojego dziadka i z kolei dziadka Lesa Kuczyńskiego, znanego działacza Kongresu Polonii Amerykańskiej. Kobiety z okolicy, moja mama także, nosiły tam jesienią do suszenia jabłka, śliwki i gruszki. Po drewnianych schodach wchodziło się na grzbiet pieca, bo cegielnia to podłużny owalny piec pod dachem, pokryty ścieżkami z desek, by nie chodzić po gorącym, i otworami z nasadzonymi żeliwnymi pokrywami, po których zdjęciu można było zobaczyć piekielny ogień zamieniający oliwkową glinę w czerwoną cegłę. Robotnik formujący cegłę, „cegielniorz” po kaliskiemu - utyłany w niej od stóp do głów, to był jeden z najmniej poważanych zawodów.

Nie bardzo wierzę w opowieść stryja. Jak było tak było, faktem jest Stanisława, fortuna musiała nieźle pogłaskać i on z tego daru zrobił właściwy użytek. Kuczyńscy już w latach 80 – tych XIX wieku mieli dużo więcej ziemi w porównaniu z tym, od czego zaczynał Stanisław. A o tym dokładnie mówi wspomniany akt notarialny z roku 1895. Otóż Marcin Frątczak, ojciec Ludwiki właściciel osady uwłaszczeniowej we wsi Zagórzynek o powierzchni 14 mórg, dziesiątego grudnia 1864 roku, w drodze prywatnej umowy, odstąpił połowę swemu przyszłemu

zięciowi i jego przyszłej żonie, a swojej córce. Stanisław i Ludwikajeszczę wzięli ślub w roku 1865. W roku 1869 umowę potwierdzono aktem notarialnym. Te siedem mórg to był początek marszu Stanisława Kuczyńskiego do znacznie większej fortuny. To on ze statusu wyrobniczego podniósł rodzinę do statusu zamożnych gospodarzy. W dwadzieścia lat później domena Kuczyńskich – wedle rodzinnych opowieści - obejmowała znaczny obszar Piwonic - i Zagorzynka, docierając nawet do miejsca, gdzie dużo później postawiono wieżę ciśnień, a jeszcze dużo później, kaliski przedsiębiorca, Zenon Sroczyński, pomalował ją na zielono i opatrzył znakiem Helleny, stworzonej przez siebie, w latach 90 – tych ubiegłego wieku, wytwórni napojów. Także część kaliskiego WSK leży na ziemi Kuczyńskich. Kupił też Stanisław jakieś grunty w Godzieszach, które potem odziedziczyła jego córka Maria, wydana za Wągrowskiego. Wszystko to jednak wymaga sprawdzenia, dość mozolnych poszukiwań w Księgach Hipotecznych. Ale już z tego, co odgrzebałem o pradziadku Stanisławie, odsłania się ktoś nietuzinkowy. Nie wiem czy dobry, na pewno ambitny, przedsiębiorczy, zostały po nim nie tylko domy i ziemia Kuczyńskich na Zagorzynku, ale także liczne ślady w rejentalnych annałach świadczące o dużej ruchliwości w interesach.

Pożyczał duże sumy pieniędzy od kaliskich Żydów i je spłacał. Trafiłem nawet na – spłaconą później – hipoteczną pożyczkę 4 tys. rubli, a w innym miejscu na informację, nie dotyczącą Kuczyńskich, o sprzedaży ziemi po 35 rubli morga. Pokazuje to rozmiar pożyczki, a także zdolności kredytowej Kuczyńskiego, bo pożyczki zabezpieczano na hipotecę, a więc musiała być ona dostatecznie duża. Sam również udzielał pożyczek i to sporych, 1000 – 1500 rubli. I jeszcze coś ciekawego, kiedy miał pięćdziesiąt lat podpisywał się krzyżykami, w sześć lat później podpisał się już literami i to całkiem niezłe. Także ta „skorupka” pozwala cofnąć czas i dojrzeć starego rolnika, jak ślęczy nad zeszytem, przy świecy, a kto wie może już przy naftowej lampie, po obrządzeniu gospodarstwa i piórem trzymanym nawykłą do pracy na roli ręką, usiłuje napisać swoje imię i nazwisko. To też mówi coś o jego osobowości. Szkoda, że nie zachowała się żadna fotografia tego mojego ciekawego pradziadka Stanisława. Tak bym chciał spojrzeć mu w twarz. Daty śmierci jeszcze nie znam, stało się to najprawdopodobniej na początku I wojny światowej.

Początkowo sądziłem, że najwcześniejszym znanym mi gniazdem rodu, którego schyłek widziałem na własne oczy, był ów wspomniany wyżej dworek, obszerny z czerwonej cegły, dwuskrzydłowy, do którego

od głównej ulicy wiodła długa aleja pięknych, starych lip, a za nim pola opadały łagodnie ku pełnym urody nadprosniańskim łąkom z widokiem na leżący za rzeką daleki las winiarski. W porze kwitnienia zwyczajem było obłamywanie gałęzi, zrywanie z nich kwiecica i suszenie go na zimowe napary, a kiedy lipę przy ulicy pokryły liście, skryci w jej konarach popalaliśmy z kolegami papierosy, albo straszaliśmy przechodniów wymyślnymi pohukiwaniami. Wyobrazenie dworku uprawdopodobniało opowieść o zdolnym Staśku i dziedzicu, ale okazało się, że zwiódła mnie dziecięca wyobraźnia, a prawdę odsłoniły dokumenty. To, co jawiło mi się jako dworek było, fakt, przyzwoitym, bogatym jak na koniec XIX wieku wiejskim domem, murowanym, pod dachówką, o powierzchni – w parterze - około 100 metrów kwadratowych złożonym z kuchni, trzech izb, dwu kominów i pewno ze dwu pomieszczeń na strychu, z nimi było ze 150 metrów. Oddany do użytku w roku 1889 - był fragmentem szerszego „frontu inwestycyjnego” realizowanego przez 44 letniego wówczas Stanisława. W tym domu zamieszkali, i tam zmarli. Gdzie mieszkali wcześniej nie wiem, po ślubie pewno w domu rodziców Ludwiki, bo dziadek Stanisław był hołyszem, a na Zagorzynku mieszkań na wynajem raczej wtedy nie było. A może ten czerwony dworek stanął na miejscu jeszcze

starszego domu, może domu rodzinnego Ludwiki? Równolegle z „czerwonym dworkiem” budowano obejścia gospodarcze, murowane i kryte dachówką; stodołę i oborę, czyli całe gospodarstwo, a kilkaset metrów dalej powstawał drugi dom, oddany nawet rok wcześniej, nieco większy od pierwszego, ten właśnie, w którym się urodziłem. Wtedy w latach 90 – tych dziewiętnastego wieku, domy te musiały być perłami, oazami zamożności, na całej ulicy, bo wieś była biedna, prawie na pewno przeważały domy drewniane kryte słomą. Jeszcze po wojnie było ich sporo. Z tamtych odległych lat przetrwało tylko moje rodzinne gniazdo. To najstarszy zabytek na Częstochowskiej. Ostatni drewniany dom pod strzechą, tuż koło cmentarza, zamieszkały przez zdziwaczałą rodzinę, jedyny bez podciągniętej elektryczności, rozsypał się wraz ze śmiercią właścicieli w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Dziś na jego miejscu postawiono okazały budynek, w którym przyjmuje pacjentki lekarka ginekolog.

Przy podziale majątku gospodarstwo, wraz z niby-dworkiem, aleją lip i akacjami, może właśnie posadzonymi podczas jego budowy, a może wcześniej, przypadło Walentemu, najmłodszemu z synów Stanisława. Mieszkał w nim razem z matką Ludwiką do jej śmierci i z siostrą Władysławą. Niezbyt dbali o dziedzictwo Stanisława, bo na

krótko przed wybuchem wojny Walenty, zobowiązany przez władze miejskie – w ramach cywilizacyjnych działań premiera Sławoja – Składkowskiego - do otynkowania budynku i zabudowań, pisał, że „są one tak zrujnowane, że należy je jak najprędzej rozebrać i przebudować”. Był już nawet zatwierdzony plan budowy dużej willi, ale zamiary pokrzyżowała wojna. Po wojnie zabudowania rozebrano i przez długi jeszcze czas widoczne były granice dawnego obejścia obsadzone akacjami i resztki murów, w których stoczyłem z kolegami niejedną bitwę. Szczątki alei lip, bardziej kikuty pni niż drzewa, ale ciągle żywe, istnieją, gdy piszę te słowa.

Prababka Ludwika rodziła, co najmniej jedenaście razy, wedle zasady, „co rok to prorok” i to – w tamtych pokoleniach - był chyba najważniejszy rys życiorysów kobiet z ludu. Poronienia, jeśli były, wsiąkły w czas. Życie obfitowało w urodziny i w śmierci – chodził pradziadek Stanisław cztery razy do urzędu zawiadomić o zgonie dziecka, dorosłości doczekało czterech synów; Franciszek, Wojciech, Ignacy i Walenty, a także trzy córki; Maria, Stanisława i właśnie Władysława. Władysławę, zaniedbaną, starą kobietę, pamiętam jak gdzieś na początku lat 60 – tych mówi kaliską gwarą do taty Władysława; „Panie Radziejewski, zaczyli kraś, ukradli bańke i

płachcie”. W słowach grześkowiaczki był znak czasu – złodziejstwo, dobrze się mające i dokuczliwe przed wojną zmarniało wśród narodu zbiedniałego przez wojnę i plan 6 – letni. Kiedyś musiało się zbudzić - kto wie, może dzięki tej bańce i płachcie? Za młodu jednak Władysława to była Pani, gustowała w aksamitnych, bordowych sukniach, włos miała piękny, rudy, starannie upinany, od pracy, jak głosi rodzinny przekaz raczej stroniła, wyręczała ją służba, zawsze 3 – 4 osoby, wołała zabawy, jak jej mąż - popiwszy w kaliskich knajpach wracał do czerwonego domku dwoma dorożkami, a potem, jak tylko się pojawiły, dwoma taksówkami, kapelusz w jednej, on w drugiej, chyba z kogoś znanego to spapugował. W rodzinnym przekazie nie została po nim dobra pamięć, miał przepuścić, zanim żona się z nim rozwiodła, większość jej spadku. Synowie Stanisława byli już piśmienni. Dziadek Ignacy, podobno jedyny we wsi kupował i czytał gazety, także na głos innym gospodarzom w wiejskie wieczory. Nie miał wyglądu rolnika nie nosił się „z chłopska”, podobnie jak babka, przynajmniej od święta. Dowodzi tego maleńkie zdjęcie z połowy lat 20 – tych, zrobione najpewniej przez najstarszego syna, wspomnianego Józefa, Bronisława, fotografa amatora, wyraźnie z jakiejś uroczystej okazji. Na zdjęciu, w ogrodzie mego rodzinnego domu, raczej nieźle się mająca rodzina

mieszkańska niż rolnicy. Całkowity kontrast z fotografią prababki Ludwiki. Dziadek Ignacy w eleganckim płaszczu, biała koszula, muszka. Babka Antonina w długiej sukni, szykownym płaszczu z ciemnymi, może czarnymi wyłogami, trudno powiedzieć, zdjęcie nie jest przecież kolorowe, do tego biała bluzka z żabotem. Franciszka pamiętam ledwo, ledwo. Jawi mi się, siedzący przed swoją czynszową kamienicą, jako kopia dziadka Ignacego z tego małego rodzinnego zdjęcia – nie wysoki, chudy, poczochrany, świński blondyn, z rudawnym odcieniem – jak i dziadek Ignacy. Podobni do siebie, zupełnie nie przypominali swej matki Ludwiki. Nie wykluczone więc, że byli „kopia” ojca Stanisława i że to za ich pośrednictwem przechował się jedyny ślad jego wyglądu. Babka Antonina, która za dziadkiem, wciśniętym jej ponoć przez rodzinę, nie przepadała, wołała na niego „ryżol”. „Żółtki” - mawiała mama na Kuczyńskich wspominając, jakieś złe przejścia z teściami. „Uczesz się Waldemar, nie chodź, jak ten Frunciszek”; „posmaruj się kremem, wyklep się Waldemar, bo się pomarszczysz jak te Kuczyńskie” – mawiała i tą drogą dowiadywałem się co nieco o rodzinnych genach. Jeden z synów Franciszka – Lucjan - pojechał do Ameryki za chlebem. Kilkadziesiąt lat później odszukał mnie w Urzędzie Rady Ministrów, jego syn, Les

Kuczyński, prawnik, działacz Kongresu Polonii Amerykańskiej, bawiący z delegacją KPA w Polsce, też świński blondyn. Walenty bardziej i dłużej gościł w moim życiu – „wuja Waloś” - tak na niego mówili. Malutki, stary kawaler, dożywający swego czasu na własnej ziemi, ale w rodzinie „grześkowiackowej” córki. Dobry, poczciwy człowieczek – taka o nim przetrwała pamięć i to jeszcze, że pisał wiersze, ślad po nich nie został, skończyły na śmieciach wyrzucone przez rodzinę. Na co dzień wyglądał, jak każdy chłop przy robocie. Za to w niedzielę w garniturze i pod krawatem, z włosami natartymi brylantyną, elegant z lat 30-tych, drepciał do Fary, do świętego Józefa. Kościół świętego Gotadra, który miał po drodze od lat omijał, po jakimś konflikcie z proboszczem. Elegancki był od młodości, kiedy, jako kawaler – w „oficerkach” raz konno, raz bryczką - zajeżdżał w konkury do panien z okolicznych wsi. Gdy trafił na swoją patrzącą na to złym okiem siostra Władysława ponoć odwiodła go od żeniaczki. Siostra w starokawalerstwie brata mogła mieć interes. Po przepuszczeniu spadku przez męża – letkiewicza małżeństwo Walentego groziłoby jej wycugiem u szwagierki. Walenty do hołyszów nie należał. Ksiądz, zanim się o coś pokłócili, nazywał go z ambony „dobroczyńcą kościoła”. Za posłuchanie siostry zapłacił samotnością.

Żył długo, umierał na Burgera, zanim zamknął oczy ucięto mu obie nogi. Przez tę śmierć przypominał mi Kubę z „Chłopów” Reymonta. Ze śmiercią wiążą się jedyne jego słowa, jakie zapamiętałem. Dotknięty już mocno chorobą, zalił się do taty, grabiąc skoszoną trawę tuż za płotem naszego ogrodu - „panie Radziejewski, stary jezdy i chory, ale ciężko odchodzić z tego świata”.

Dom, w którym się urodziłem, murowany, sześćcioizbowy, prosta bryła, ale z gankiem świadczącym o zapatrzeniu w szlacheckie dworki, był śladem dostatku Kuczyńskich za Stanisława. Jednak wtedy u zarania wojny gospodarstwo i gospodarze do zamożnych nie należeli, choć nie była to także wiejska biedota. Żonę, Antoninę z Jasiaków, dziadek Ignacy dostał „w spadku” po starszym bracie Wojciechu, który nadepnąwszy na zardzewiały gwóźdź zmarł od zakażenia, choć wozili go doktorom aż z Wrocławia. Urodziła się w Goździkowie, koło Rzgowa, w konińskim z ojca Józefa i matki Marianny z Jakubowskich. To moi pradziadkowie po kądzieli. Prawie na pewno przenieśli się do Kalisza, bo po co Wojciech miałby biegać aż pod Konin by szukać panny. Jest prawdopodobne, że pradziadek Józef był młynarzem, właścicielem wiatraka, bo oto przeszperując mozolnie skorowidze, repertoria i akty notarialne kaliskich rejentów z XIX i początków XX

wieku odnalazłem akt w połowie sprzedaży, a w połowie darowizny wiatraka przez małżonków Jasiaków swej córce Antoninie i jej mężowi Wojciechowi Kuczyńskiemu. Znalazło się też zdjęcie pradziadków Jasiaków. Stoją przy furtce, przed mało widocznym domem. Mają może sześćdziesiąt parę lat, prababcia Marianna szczupła, drobna, z resztką dawnej urody i nieutraconą zalotnością, w ręku trzyma maleńki bukietik kwiatów, widać lubiła je dostawać. Może właśnie chwilę przed tym, jak fotograf zrobił zdjęcie, dał jej je pradziadek, i tak przetrwał aż do prawnuka ślad ich późnej miłości. A pradziadek Józef stojący obok, wyrasta wysoko ponad małżonkę. Wielki chłop z obfitym wąsem, w trochę niedbale zapiętej marynarce i spodniach wpuszczonych w buty z cholewami. Rzeklibyście typowy młynarz. Muszę powiedzieć, że patrząc na tę parę, odczułem szczególnie mocno tęsknotę za nimi, żal za rozminięciem się w czasie, właściwie miłość do tych akurat pradziadków. Widać ich fotografia przeniosła nie tylko martwy, znieruchomiał obraz, lecz jakby ich uczucie ku mnie mającemu przyjść wiele lat po nich. Ale co się stało z wiatrakiem, Bóg raczy wiedzieć. Otóż nie! Najpierw, od mojej dużo starszej siostry ciotecznej, Marysi, dowiedziałem się, że wiatrak leżał na granicy Zagorzynka i Piwonic, tam gdzie później poszły tory kolei Warszawsko-Wiedeńskiej

– one nawet leżą na kawałku ziemi Kuczyńskich, odnalazłem akt notarialny zbiorowej sprzedaży gruntów grupy rolników na rzecz tej kolei z roku 1902. Potem wiatrak zobaczyłem na zdjęciu wygrzebanym z „wykopalisk” robionych po rodzinie. Jest oto duży łan zboża i mój dziadek rozgniatający kłos, aby sprawdzić urodzaj i wiatrak w oddali na wzgórzu. Kto wie, może Wojciech Kuczyński tam właśnie, jako chłopiec jeszcze poznał młynarzównę Antoninę? Wiatrak to była duża atrakcja dla dzieci, wiem, bom sam spod wiatraka.

Wojciech (rocznik 1867), wedle słów swej wnuczki, Marii był miłością babki Antoniny (na drugie nosi jej imię moja najmłodsza córka), wtedy młodej i urodziwej, mam przed oczami jej zdjęcie z końca XIX wieku, które widziałem u kogos z rodziny, ale go nie odnalazłem. Miała też pewną ogładę, podobno mówiła po francusku i dobrze gotowała. Zdobyła te umiejętności w warszawskiej pensji dla panien, do której posłał ją brat, ksiądz, Bartłomiej Jasiak, jego zdjęcie w szatach liturgicznych, obok ołtarza, też przetrwało i też powstało w atelier Borettiego. Zanim babka Antonina wyszła za mąż prowadziła mu dom. Ślub z Wojciechem odbył się letnią porą, o dziesiątej rano 9 czerwca 1895 roku, w Jaworzu, koło Wielunia gdzie na probostwie siedział wspomniany Bartłomiej, zginął w nieznanym mi

okolicznościach podczas pierwszej wojny światowej. W sierpniu 1896 roku przyszedł na świat ich pierworodny, Stanisław, ale nie żył długo i linia Wojciecha Kuczyńskiego od strony miecza wygasła, ale od kądzieli rozrosła się okazale. W roku następnym przyszła na świat córka - Feliksa, Bronisława, zamężna potem za Stefana Hybsia, bardzo podobna do matki i trochę do młodej Judy Garland. Widać to na jej ślubnej fotografii. Siedzi na fotelu, z bukietem róż na podołku, przysłaniającym nie widoczną na zdjęciu, ale faktyczną, wczesną ciążę. Namiętna była widać ciocia, niestety taki pośpiech w tamtych czasach był źle widziany, ale dziś wygląda na awangardyzm i pionierstwo, sympatycznie. Te silne Jasiakowe geny wyrzeźbiły także twarz wnuczki Marii, dopiero pokolenie później zaczęły ustępować przed naporem nowych genealogii. Ignacy został mężem z rozsądku, a może nawet – chodziły po rodzinie takie pogłoski - i z nacisku, po to by nie rozpraszać majątku. Faktem jest, że w akcie ślubu spisany przed urzędnikiem carskim ustanowiona została od razu wspólnota majątkowa Ignacego i Antoniny. Babka straciła przez to możliwość samodzielnego decydowania o części majątku Kuczyńskich odziedziczonym po pierwszym mężu. Ale może chodziło też o wywiązanie się z obietnicy danej bratu, jedno drugiego nie wyklucza.

Umierający Wojciech miał wezwać braci i powiedzieć; „zostawiam Wam żonę i córkę, macie się nimi opiekować”. Był rok 1897, Feliksa, córka Wojciecha była sześciotygodniowym niemowlęciem. Babka Antonina wraz z drugim mężem siedzieli na 16 hektarach. Gdyby przyjąć, że spadek po Stanisławie dzielono między dzieci równo mógł mieć około 50 hektarów. Feliksa, dziedziczyła spadek po ojcu i udział w spadku po matce, jakieś 9 hektarów. Reszta około 7 przypaść miała do podziału między sześcioro dzieci Antoniny i Ignacego. Moi rodzice kupili od dziadków połowę domu i ogrodu, południową, to ważne, bo po wojnie, na podwórzu i przed sądami, trwała przez wiele lat bitwa o tę południową część między moją mamą, a ciotką Feliksą Hybsiową, która wróciwszy pierwsza po wojennym wysiedleniu, zajęła południe. Nie bez powodu; w tej części były zabudowania gospodarcze, a przede wszystkim dwie duże grusze, które jesienią w lata urodzaju dawały trochę grosza, a czas był bardzo ciężki. Była to właściwie wojna o grusze. Ostatnim bastionem oporu Hybsiów stała się ogromna drewniana stodoła z umieszczonym przed nią kieratem - kombinacją długiego, grubego draża z systemem kół zębatach i przekładni. Draż, jak wskazówkę zegara obracał naokoło koń wprawiając w ruch maszyny rolnicze, takie jak młockarnię, czy siewczkarnię. Chodziło o to,

że większa część stodoły tkwiła po stronie południowej, co adwokat Hybsiów podawał jako nieprzezwycięzalną przeszkodę dla podziału działki. Przewyciężyła przeszkodę przyroda, wichura w początkach stycznia 1955 roku. Wiało jak diabli, pamiętam jakby to było wczoraj – przemierzyłem wśród niej wiele ulic kaliskich pytając w kioskach o pierwszy numer „Dookoła Świata”, kolorowego tygodnika, którego ukazanie się wtedy, u progu zaczynającej się po-stalinowskiej odwilży, było wielkim wydarzeniem, sensacją. Pierwszego numeru, z fotografią kobry na okładce już nie dostałem, za to, kiedy wróciłem do domu ujrzałem zwaloną przez wicher stodołę, i szczęśliwą matkę, że ostatnia reduta na drodze do odzyskania grusz padła.

Przychodziłem na świat w siódmym miesiącu ciąży, może pod wpływem wstrząsu jakim był wybuch wojny. Rodziłem się za przeproszeniem tyłkiem, a nie głową. Poród, rodzono wtedy w domach, odbierała wedle słów Mamy, pani Marchlewska ciesząca się w okolicy wielkim mirem....dentystka, zaprzyjaźniona z rodzicami, wtedy już ludźmi dobrze sytuowanymi i mającymi dobrą pozycję towarzyską. Nie wykluczone, że Pani Marchlewska, jedyna w tej części Kalisza siłą fachowa od ludzkiego ciała, pełniła także dla okolicy rolę « arkuszerki », jak wtedy mawiano z francuska. W końcu ciało to całość

i profesjonalistka od części górnej musiała i o dolnej wiedzieć dużo więcej od reszty Zagorzynian. Wystawiając na świat Boży nie tę część co trzeba, pewno się trochę przyduśiłem i nie dałem w stosownym momencie głosu. Pani Marchlewska schwyciła mnie więc fachowo za nogi i trzymając głowę w dół dała solidnie w ów zbyt ciekawski tyłek. Pomogło, ale kiedy jakiś czas później okazało się, że mam obustronne zwichnięcie stawów biodrowych, matka obwiniła ją o ów klaps, widząc w nim przyczynę uszkodzenia. Nigdy nie uwierzyła lekarzom, którzy mówili, że to zwichnięcie wrodzone, ale nawet, jeśli miała rację, to lepiej móc podziwiać piękny Boży Świat choćby na nogach niezbyt sprawnych, niż nie oglądać go wcale. Więc dziękuję Pani Marchlewskiej, za to, że dawszy mi w pupę zrobiła z kandydata na aniołka niemowlę, pał sześc, że nie całkiem wydarzone. Oprócz zwichniętych nóżek miałem też krzywą głowę. Zanim w roku 1946 naprostował mi ją wybitny chirurg, nazwiska nie pomnę, przebywający czasowo w szpitalu kaliskim, zarobiłem, od rówieśników, jedną z pierwszych ksywek w życiu mianowicie „krzywy łeb”. Na naprawę bioder było za późno, tak orzekł profesor Gruca z Poznania, do którego zawieziono mnie wraz z leczącą się u niego starszą o rok kuzynką Regina, Reńką, jak na nią mówiła mama i tak zostało. Sądząc, że boję

się tej wizyty pocieszała mnie w pociągu; „Nie bój się Waldek, wszystko będzie dobrze, „okinkrojc!”. To bojowe „okinkrojc”, było zniekształconym, „hakenkreuze”, czyli swastyka. No cóż, byliśmy dziećmi wojny.

Wojna zaważyła ludziom świat, moim rodzicom też. Urodzili się parę lat przed wybuchem pierwszej światowej. Na ten czas wielkiej rzezi, zamętu i powojennej nędzy przypadło ich dzieciństwo. Z opowiadań matki zapamiętałem wyprawę na wieś po kartofle, do lasu po chrust i złorzeczenia na rządy Witosy, który, jak mówiła, troszczył się tylko o chłopów a gnębił ludzi z miasta. Z domu była Pecold, zresztą nazwisko sprawiało kłopoty, pisano je Pecelt, Peceld to znów Pecol. Ostatecznie po latach chybotania ustatkowało się jako Pecold, ale jeden z moich kuzynów, syn matczynego brata pozostał Peceltem. Dziadek Pecold, także, jak Kuczyński, Ignacy i także, jak on, był weteranem wojny rosyjsko-japońskiej – zostało z tego czasu zdjęcie młodego przystojnego blondyna w wojskowym mundurze. W mojej pamięci natomiast jak trzyma mnie na kolanach i – szczególnie po wypiciu gorzałki – śpiewa wojskową piosenkę, która towarzyszyła im w powrocie z dalekiej Azji do domu. Zachowałem jej okruchy; „my tri goda posłużyli... pajechnali damoj po maszinie parawoj”. Z zawodu był

cieśla, zaświadczał o tym cechowy dyplom, który widzę przez mgłę – arkusz czerpanego papieru z serią zielonkawych obrazków na obrzeżach pokazujących cieśłów przy różnych zajęciach. Wisiał w bieda – domku na ubogim przedmieściu Kalisza. Dziadkowie dostali go w użytkowanie od dalszej rodziny, która za chlebem pojechała do Francji. Wrócili pod koniec lat 50 – tych, przywożąc na krótko Lilianne, siostrzenicę, dziewczynę w moim wieku, którą „ciotka” z Francji wyraźnie próbowała ze mną zeswatać, ale nadaremnie. Przeżywałem wtedy swoją pierwszą, wielką i nieszczęśliwą jak się wkrótce okazało miłość. Z tego spotkania pozostał mi pierwszy kontakt z francuskim i pierwsza próba nauczenia się go z kursu na płytach gramofonowych. Pamiętam nawet jedno zdanie – „derrière la chaise sur la tapis est couché Nero, le chien de Pierre (za krzesłem na dywanie leży Nero pies Piotra)”. Reszta uszła w eter, a przydałaby mi się kiedy we wrześniu 1982 roku wysiadaliśmy z córką na Gare de L'est w Paryżu.

Dom składał się z jednej izby, kuchni, ganku - spiżarni i strychu, od jesieni do wiosny pachnącego rozłożonymi jabłkami, a od wiosny do jesieni rozgrzanym kurzem. Do chatki przylegał chlewik i drwalnik, a do nich wychodek, „sławojka”. Jak moja pamięć sięga chlewik

zamieszkiwały króliki i kozy, tani w utrzymaniu dostarczyciele mięsa i mleka dla mieszkańców ubogich przedmieść. O sobie mogę powiedzieć, że wykarmiony kozim mlekiem, i ciągle widzę, jak dziadek przynosi maleńką kózkę i ja, biegam z nią po mieszkaniu trzymając za sierść na grzbiecie. Kiedy pierwszy raz napojono mnie mlekiem krowim, omal go nie zwymiotowałem. Króliki karmiło się „mleczami” wycinanymi nożem na pokrytych trawą rowach deszczowych i koniecznie trzeba było dawać je suche, bo inaczej z królika miał być klops. Nie wiem, czy to prawda. Wycinanie mleczy to było także zajęcie dzieci, podobnie jak zbieranie pozostawionych na ścierniskach kłosek zbożowych. Na tych ścierniskach porosłych różną zieleniną, a także na wspomnianych rowach wypasano kozy. Pewną umiejętnością było chodzenie po ściernisku na bosaka. Trzeba było szurać stopami, aby uniknąć pokłucia. A na bosaka, jak tylko nadeszło ciepło, „latało się” najchętniej i najlepiej, żeby tylko nie stłuc palca o kamień – o! to było okropne! W obejściu była jeszcze studnia, z której wodę czerpało się wiadrem przy pomocy „kluczki”, długiego kija z hakiem na końcu, służącym też jesienią do obtrącania jabłek nie dających się zerwać, ani strząsnąć. Od wiosny do jesieni, po zachodzie słońca babcia Pecoldowa, Maria, siadywała przy studni i śpiewając

„wszystkie nasze codzienne sprawy” komponowała bukiety. Rychło rano nosła je na plecach, a w późniejszych latach wiozła małym wózek na targ do Kalisza. Kwiaty pochodziły z ogrodu. Był spory, z wybijającymi się jabłoniąmi, w tym z jedną, jakby dziś rzecz „kultową”. Jabłka miała smaczne, szczególnie jak poleżały na strychu, już takich nie ma, no może gdzieś w ogródkach lub w jakimś banku genów. Na trawie, pod tą nie wysoką, lecz rozłożystą jabłonią, „jabłonką” jak mawiano, zasiadała prawie w każdą niedzielę cała rodzina, a luda było sporo. Dziadkowie mieli dwie córki i pięciu synów. Dwoje zginęło w obozach koncentracyjnych. Po wojnie wojenną wyrwę wypełniała szybko się powiększająca gromadka wnuków. To były lata ślubów i narodzin. Pamiętam te wszystkie pary stojące przed ołtarzem i fragmenty śpiewanej przez organistę pieśni - „Ty im błogosław, ratuj w potrzebie i broń od zguby, gdy zagraża cios”. Wiele lat później odprowadzałem ich na kaliskie cmentarze, mając przed oczami prawie całą drogę, jaką przeszli i dotkliwie, nieprzyjemne odczucie krótkości ludzkiego żywota.

Przekaz rodzinny głosił, że Pecoldowie, korzeniami sięgający do narodu niemieckiego, przywędrowali do Kalisza z Nowej Soli, gdzie zajmowali się naprawą wieżowych zegarów. Czy to prawda i kiedy

przywędrowali do Kalisza nie wiadomo. Mieszkali w nim już na początku lat 60 - tych XIX wieku, o czym świadczą metryki urodzenia ich dzieci. Prapradziadek miał na imię Wilhelm, a jego żona Józefa z domu była Maciejewska. Wilhelm, zważywszy, że za żonę miał Polkę, jakiś czas już prawdopodobnie w Kaliszu mieszkał, a ponieważ mieszkał w nim także jego brat, o którym niżej, to nie wykluczone, że przybycie Pecoldów do Kalisza trzeba cofnąć przynajmniej o pokolenie wstecz, do ich rodziców. Pecoldowie pokolenia Wilhelma, tkwili na pograniczu dwu nacji. Jego brat na chrzcie dostał Franz, co wskazuje, że ich rodzice mocno jeszcze zanurzeni byli w niemieckości, ale wyznania katolickiego. Lecz dzieci już uległy polonizacji. Syn Wilhelma, Józef Pecold ożenił się z Marią Leo. Nic o nich więcej nie wiem poza tym, że leżą wymazani z ludzkiej pamięci na kaliskim zagorzyńskim cmentarzu. Osłupiająca bywa niewrażliwość na przeszły czas i własne korzenie – wnukowie tej pary najpierw „unowocześnili mogiłę” zastępując piękny pokryty patyną lat kamień z krzyżem, betonowym kiczem i coś mi się w pamięci majaczy, pominęli chyba w nowej tablicy pochowanego także tam Wilhelma i jego żonę. Prawnuczka Józefa z kolei – by zrobić miejsce na tablicy dla tych, co wcześniej usunęli kamień, usunęła z niej pradiadków. Nie zrozumiała,

że uśmierciła ich po raz drugi. Więc tutaj przywracam ten skrawek pamięci o pradziadkach, jaki ocalałem przezornie spisując z nagrobka, że Józef Pecold, robotnik, przeżył lat 55 i zmarł 6 stycznia 1918 roku. Był robotnikiem, jeśli więc prawdą jest ta opowieść o naprawiaczy zegarów, to musiała nastąpić międzypokoleniowa degradacja społeczna, ale następne pokolenie ją odrobiło, znów byli rzemieślnikami, cieślami. Marianna przeżywszy lat 63 zmarła 13 kwietnia 1928 roku. Urodzili się więc kolejno w roku 1863 i 1865.

Babcia Pecoldowa, z domu była Zasiadła, pochodziła z chłopskiej rodziny gospodarującej w podkaliskim Rajskowie. Była córką Józefa Zasiadłego, syna Stanisława i Marianny z domu Raszewskiej, moich pradziadków i prapradziadów od strony babki Pecoldowej. Józef urodził się w roku 1855 i w dwadzieścia pięć lat później 6 grudnia roku 1880 poślubił Antoninę Walczak. Miała lat 17, była córką Wojciecha i zmarłej już, kiedy brali ślub Franciszki. W ciągu następnych dwudziestu lat rodziła 14 razy, czworo dzieci pochowała. Babką mogła być w wieku trzydziestu paru lat. Obejście Zasiadłych to majak, dom od ulicy, podwórze otoczone zabudowaniami, wtedy wydawało mi się duże i jak patrzę na nie przez przestrzeń czasu robiło wrażenie dostatnie. Brat babki, wujek Konstanty, Kostek, jak go nazywano trochę

przypominał Aleca Guinnessa, a ciotka imienia nie pamiętam, postawna, o twarzy inteligentnej, rysach regularnych, włosach czarnych i karnacji ciemnej, niewątpliwie ładna mogłaby uchodzić za córę Słowian z południa. Nie zachowało się żadne zdjęcie babci Pecoldowej z czasów jej młodości, może go w ogóle nie było. Dla mnie była zawsze stara, niska, tęga, nie najlepiej ubrana i za pobożna. Spędziłem u niej i z nią dużą część dzieciństwa, kochała mnie, ale nie umiała tego okazać tak, by wytrwało próbę czasu, miała jakąś surowość. Dziadek Kuczyński zmarł wcześniej niż mógł utrwalić się we mnie jego ślad. Babka Antonina nie zaistniała w moim życiu, ledwo się o nią otarłem, nie odczułem niczego co bym zapamiętał, jako ślad miłości do wnuka, a przecież ona bywa tak silna. Dziś to wiem i czuję do moich wnucząt. Najsilniejszy ślad wiedzie od dziadka Pecolda, i jego pamiętam najcieplej. Nie tylko te piosenki z japońskiej wojny. Także niedzielne wędrówki do fary, dziś Bazylika Najświętszej Marii Panny, wtedy święty Józef, na mszę, po której zwyczajowo szło się pod ratusz, gdzie dziadek Ignacy spotykał kolegów. Oni gawędzili, pili piwo, a ja hasałem po okołoratuszowym rynku z lizakiem, lodem, albo słodką watą na patyku. Potem wracaliśmy na obiad, na rosół z kury. Niedziela to był rosół, coś co by sprofanowano nazywając zupą, i nigdy nic

takiego nikomu do głowy nie przyszło. Dziś nie jest łatwo taki rosół ugotować, bo trzeba by mieć prawdziwą kurę podwórkową, a nie mutanta opchanego mączkami i innym świństwem. Dziadka Ignacego Pecolda opłakiwałem najbardziej, łzami siedemnastolatka, gdy w roku 1957 kondukt pogrzebowy, z orkiestrą i cechowymi sztandarami, przemierzał, powoli, w rytm konnego karawanu ulice Kalisza w długiej drodze od Kolegiaty Świętego Józefa na cmentarz Zagorzyński. Przez łyzy robiłem też zdjęcia tego pogrzebu, rosyjskim aparatem „Ljubitel”, „amator”, a potem sam je wywoływałem, niestety przepadły. Od dawna takich pogrzebów nie ma. Do miejsca ostatecznego zamieszkania jedzie się transportem „zbanalizowanym” jak mówią Francuzi, nie do odróżnienia od pojazdów ulicznych.

Z opowiadań mamy wnoszę, że córka ubogiego rzemieślnika, nie została dobrze przyjęta przez Kuczyńskich, może nawet uważali to małżeństwo za mezalians myśląc o jakiejś gospodarskiej żonie dla syna, ale mogło być też inaczej, bo matka moja nie należała do osób łatwych we współżyciu. Była kobietą urodziwą, pociągającą, o dużym temperamencie, ale też władczą. Nie miała niczego z potulnej kotki, wiele za to z drapieżnej, potrafiła dopiąć swego, ale także urazić. Świadoma swej urody, przypominała dziadkom Kuczyńskim w

chwilach gniewu - „to ja ozdobiłam waszą rodzinę”. „Marychna, mówiła z kaliska - powim Ci, jezdy kobita nerwowo, ale jak mi przejdzie, to jezdy dobry człowiek, można mnie na ból przyłożyć”. Te słowa mamy wypowiedziane gdzieś przed laty dotarły do mnie dzięki Marysi, córce Krawczyków z Żydowa, rolników, w targowe wtorki i piątki klientów w Mamy i Taty sklepie, a potem przyjaciół rodziny. I to była prawda. Gospodynią mama była wzorową, jak pamiętam zawsze domowy minister finansów, ojczym, tata Władysław, nie miał nic do powiedzenia, mógł się zżymać i pewno to robił, ale grzecznie oddawał wypłatę razem z „paskiem”, by było jasne, że wszystkie pieniądze trafiły do maminej kasy. Czasami pewno coś zachomikował. Pewnego razu mama znalazła zaskórniaka, PRL-owskie 100 złotych, czerwony banknot z hutnikiem po jednej, a pękiem dymiących kominów, ówczesnym synonimem postępu, z drugiej. Banknot ukryty w rękawiczce wyjęła i tak się jakoś zdarzyło, że rękawiczkę porwała kaczka. Tata Władysław przerażony pogonił za ptakiem, rękawiczkę mu wyrwał, ale stówy nie było. Kaczka podejrzania, że zżarła pieniądze omal życiem nie przyplącała. Mama oglądając ten dramatyczny pościg przez okno miała setną zabawę, w końcu ujawniła prawdę.

O dzieciństwie i młodości rodziców nie wiem prawie nic. Jak

każde chłopskie dziecko tata pasał krowy, o tym zaświadcza stare poźółkłe zdjęcie, może był rok 1916, na innym zdjęciu widzę go, nadal jako chłopca, w stajni przy koniu, na innym, jako młodego mężczyznę jak młóci cepem zboże, w tej właśnie spornej później stodole, a jeszcze na innym, jak na polu pełnym ułożonych mendli, wśród żniwiarzy pije z dzbanka. Zanim się ożenił i został „kupcem” praktykował w jedynym wtedy w Kaliszu warsztacie samochodowych, chciał być mechanikiem, w jakimś rodzinnym dokumencie ma nawet wpisane „szofer”, jako zawód.

Na zdjęciu, porwanym przez czas, które kiedyś widziałem, Ojciec stoi obok eleganckiej ówczesnej limuzyny, podobno Forda. Długi czas wierzyłem, że to była tatowa limuzyna, i pewno by podobną jeździł, gdyby nie Hitler. Kiedy wybuchła wojna ojciec miał dwa sklepy, a właściwie sklepiki „spożywczo-kolonialne”, głosiły napisy, by wiadano, że do kupienia są także przyprawy i inne towary egzotyczne, czyli z kolonii. Zapachów kolonii trudno jednak byłoby się doszukać w sklepach spożywczo – kolonialnych, bo, jak dobrze nadal czuję, pachniały mieszanką solonych śledzi, kiszzonej kapusty i nafty sprzedawanej z metalowej beczki wyposażonej w pompkę z podziałką. Nie wiem, czym pachniał sklep spożywczo – kolonialny rodziców, ale

oto nieoczekiwanie jeden z nich ujrzałem, choć tam gdzie stał nie został najmniejszy ślad. Ujrzałem go podobnie jak skład z węglem, a był też spichlerz ze zbożem, ale ten zupełnie się rozplynął. W teczce nieruchomości przy Częstochowskiej 108, przechowywanej w kaliskim Archiwum Państwowym znalazłem prośbę ojca do władz miasta o zgodę na powiększenie owego sklepu i składu i rysunek. Była to drewniana szopa przy domu o powierzchni 50 metrów kwadratowych, z czego sklepik zajmował 10. Biznesy nie były więc wielkie, ale się rozwijały – Tata skupywał od rolników z okolicznych wsi zboże, sprzedawał im węgiel, handlował także z Żydami. W Kaliszu było ich wielu, u progu wojny 27 tysięcy, na 80 tysięcy mieszkańców, po wojnie zostało stu, Kalisz miał wtedy 43 tysiące mieszkańców. Matka wspominała żydowskich wędrownych, bieda-handlarzy, ich nawoływania – „Szkłanki, filiżanki, dziecinne zabawki, wszystko się daje za stare gałgany”; a także podsycone niewątpliwie antysemityzmem zaczepki dzieciarni – „Skórki, skórki, skupuje! A skórkę z rabina Żydzie chcesz? Ty, cholernik, Ty sobie weź skórkę z twojego ksiądz”. Zdarzało jej się wygadywać na Żydów różne rzeczy, czasem ze złością, nigdy z nienawiścią, ale często powtarzała, także powołując się na słowa Taty, że byli rzetelnymi partnerami w

interesach. Rodzice handlowali, pracowali, dorabiali się i....opędzali od lokalnej bandy złodziejskiej, dobrze znanej, ale bezkarnej z szefem zwanym „Kalitą”. Nazywał się Stanisław Kaleta, rocznik 1916, taki zdemoralizowany, młody gówniarz. Nie jedną noc spędził ojciec pilnując dobytku, ponoć nawet ze spluwą w garści, a i tak kilka razy nie upilnował. O spluwie dowiedziałem się od mamy, o tym, że Kality nie upilnował, z protokołu jego zeznania przed hitlerowskim śledczym. I przez Kalitę zginął w Oświęcimiu. Poznali się rodzice w końcu „belle epoque”, dziewczyny – i Mama też - czesaly się wtedy na chłopczyce. Miłość była gorąca, łąki nad Prosną, jeszcze po wojnie przepiękne, były ich światem, wiosennym i letnim, a pewno i nieraz miłosnym łóżem. O tych namiętnościach nie ja, lecz moja żona, Halinka, dowiedziała się odrobinę od mamy w jakiejś dobrej dla zwierzeń chwili. Szkoda, że było ich tak mało. Ślub wzięli 30 sierpnia 1933 roku, zaświadczał mi o tym przez lata wygrawerowany napis na odziedziczonej po Tacie obrączce, a gdy zacząłem pracę nad tą historią, uzupełniła go kopia zapisu z parafialnej księgi małżeństw.

II. KOŁO WIATRAKA

Czas wojny, poza jej końcem, nie układa mi się w fabułę, lecz w

stertę obrazków, których nie potrafię ułożyć po kolei. Prawdę mówiąc cała ta opowieść wygląda jak wydobywane z pamięci plastry pełne dziur w miejscach zupełnie przypadkowych. No więc wojna - dla niektórych to okazja, dla większości tragedie, bieda i strach. Moja rodzina należała do większości; zginął ojciec, jego brat (a mój chrzestny) z żoną i dwiema córkami, dwaj bracia matki. Także śmierć dziadka Ignacego obciąża wojnę, wuj Czesław tak opisał jej przyczynę:

"JA: Na co zmarł dziadek Ignacy ?

WUJ: Wiesz jak to było w czasie wojny, każdy się spodziewał wysiedlenia. Ich przecież wysiedlili z domu na Częstochowskiej. Każdy był przygotowany, jakąś paczuszkę każdy gdzieś tam miał, mimo że był spokój, ale to było w końcu zawsze coś. Była to jesień i ojciec złapał kozuch, to było wtedy, gdy zabierali za Kalitę, tego co to zabił Samana. To był złodziej, bandyta choć później zrobili z niego bohatera, ale to był złodziej, tyle narodu przez niego ucierpiało. Więc dziadek złapał kozuch, jak go zabierali, to była taka baranica on był dobry na mróz, ale nie do gimnastyki. Ojciec przecież leciwy już był, a im kazali trzymać ręce do góry. Ojciec niósł jakiś czas, ale mu te ręce opadały to go kolbą, to się przewrócił. Podnieśli go i znów musiał te ręce trzymać

w górze i znów mu opadły i znów dostał kolbę, a pędzili ich aż na rynek, gdzie była taka hala handlowa. Ty pamiętasz remizę na rynku?

JA: Pamiętam doskonale i nawet kozę pamiętam, bo w kozie siedziałem z matką tydzień, kiedy nie chciała jechać beze mnie do Niemiec na roboty.

WUJ: A no widzisz, to później zostało rozebrane, więc do tej hali wszystkich ludzi tam ściągnęli. I po tym pobiciu ojciec już stracił zdrowie”.

Zmarł w roku 1943. Byłem za mały, by te śmierci przeżyć, rozminąłem się z nimi, tylko pogrzeb dziadka Ignacego pamiętam przez mgłę. W ostatniej chwili, tuż przed złożeniem trumny do groby zjawiał się, przybyły do Kalisza, chyba najstarszy syn dziadka Bronisław. Chciał spojrzeć ostatni raz na ojca, czemu sprzeciwiali się grabarze, ale ostatecznie trumnę otwarto, choć podobno było to zabronione. Wojenna bieda została bardziej w mojej pamięci, niż w odczuwaniu. Widzę i dziś wielki, żelazny młynek do zboża, skrzętnie ukrywany przez dziadków Pecoldów – mieszkaliśmy u nich po wysiedleniu z domu rodzinnego. Pamiętam siebie, jak w końcu ogrodu stoję „na warcie” patrząc, czy nie idzie żandarm, podczas gdy w domu mieli się kupione na lewo zboże.

Pamiętam też karbidówkę, górniczą lampę na karbid, używaną w wielu domach zamiast lamp naftowych, mało użytecznych z braku nafty potrzebnej dla wojny. Karbid, kto dziś o nim słyszał, znalazł nieoczekiwane zastosowanie w chłopięcych zabawach powojnia, w których strzelanie grało bardzo ważną rolę. Strzeladłem była puszka po paście do podłóg z wciśniętym wiekiem i otworem w denku zrobionym gwoździem. Pluło się na grudkę karbidu, wciskało wieczko i po paru sekundach odpalało przytykając do otworu zapalną. Potrafiło nieźle grzmotnąć, nawet były rywalizacje, czyje pudełko grzmoci najgłośniej, a wieczko leci najdalej.

Kiedy natomiast grzebię w pamięci szukając czegoś co pozostało, jako odczucie biedy jedyne świadectwo jakie znajduję, a mówi ono wszystko, to smak pomarańczy, rarytasu jakoś zdobytego dla mnie przez mamę, no może jeszcze smak sacharyny, nędznego wtedy zamiennika cukru, zwanego dziś słodzikiem i pożądanego przez amatorów smukłej sylwetki. Odgradzili mnie; ona i dziadkowie nie tylko od głodu, także od poczucia, że czegoś mi brakowało. Odgradzili tak bardzo, że kiedy niedługo po wojnie, ze szpitala, w którym prostowali mi głowę, wychodził mój rówieśnik, repatriant z ZSRR, dziwiłem się dlaczego tak nieciekawie zachęca bym go odwiedził,

mieszkali gdzieś w okolicy. A mówił, śpiewnym akcentem, nabytym może na kresach, a może w Kazachstanie – „Waldek, przyjedź do mnie, dam ci masła, cukru...”. Dopiero wiele lat później pojąłem, jakie doświadczenia i doznania tego chłopca, zupełnie mi obce, kryły się w jego zachętach, czym były dla niego cukier i masło, a czym one nie były dla mnie.

O strach podbitych otarłem się, co najmniej kilkakrotnie i na pewno go odczułem, choć śladu tamtej emocji nie mogę się doszukać. Raz przez tulipany. Dla mnie jako dziecka tulipan miał niewytłumaczalne, tajemnicze piękno, wprost zmuszające, by go zerwać i zabrać. Niestety ten kwiat pożądania rósł w ogrodzie babcinego sąsiada, Niemca, co prawda polskiego, zasiedziałego, ale Niemca. Domy, ten niemiecki dostatniejszy, i dziadków prawie się ocierały ścianami, lecz między rodzinami nie było sąsiedzkiego ciepła, przeciwnie, był lęk po naszej stronie i obojętność po tamtej, choć przed wojną synowie ich i dziadków grywali z sobą w piłkę na sąsiadującym z obydwojmi ogrodami ugorze. I oto więcej ile sił w dziecięcych nogach ścieżką między łanami zboża, a za mną sapiąc i dysząc goni gruby sąsiad, żeby zabrać mi tulipany i pewno dać solidnie w tyłek. Umknąłem pogoni, ale tulipany zamiast wzbudzić w babci i mamie

zachwył równy mojemu, wzbudziły panikę, co też teraz będzie. Nic nie było, obyło się na odniesieniu tulipanów i przeprosinach. Od ponurych Niemców z sąsiedztwa nic złego nas nigdy nie spotkało. To byli dobrzy ludzie, tylko ponurzy, a może chodziło o coś innego, może nie chcieli, żeby ich przybyli zbrojnie „rodacy” widzieli kumanie się z podbitymi, może oni też się bali. Rzecz charakterystyczna, nie uciekli z wojskiem, zostali. Dopiero wiele lat później mój tulipanowy "prześladowca" z częścią rodziny wyjechał do RFN. Reszta żyje na starych śmieciach, no nie zupełnie na starych. Dawny dom sprzedali, a obok na miejscu drewnianej stodoły postawili nowy. I w nim wędrując po tropach dzieciństwa, odwiedziłem tykowego wnuka. Na widok nieznanego zjeżył się i otoczył gardą nieufności. Ale po kwadransie było już lepiej. Żegnałem się mając w uszach jego ni to pytanie ni to żal, pewno i to i to – „dlaczego dla Polaków, jak ktoś jest ewangelikiem to jest Niemcem? Ja jestem ewangelikiem, mam to po rodzicach, a mówię na mnie Niemiec i Niemiec?”. Zrobiło mi się nieswojo.

Strach zagościł też w babcinym domku przez rower. Wojna miała się ku końcowi. Front był jeszcze daleko, może nawet nie doszedł do Wisły, ale w okolicach Sieradza, 50 kilometrów na północny wschód od Kalisza Niemcy kopali już rowy przeciwczołgowe, spędziwszy do tego

Polaków, w tym i mamy brata. Za odpowiednią przepustką można było ich odwiedzać, i ja tam raz pojechałem z mamą pociągiem, w wagonie dla Niemców. Matka, której odwaga graniczyła z bezczelnością, miała to przećwiczone – młoda, ładna, kupowała niemiecką gazetę, zakładała eleganckie ciuchy z niewyprzedanych resztek przedwojennego dobrobytu i jechała wygodnie, jak jakaś folksdojczka. Z tego pobytu pamiętam okopy, jak koryta wyschłych kanałów, wyłożone słomą legowiska w wiejskich chatach, gdzie zakwaterowano kopiających i białą zupę, chyba z kluskami, która smakowała mi tak, jak żadna inna zupa, aż do dziś. I jeszcze wystruganą przez kogoś w drewnie łódkę z żaglem, którą puszczałem na płynącej obok kwater strudze. Rower stał się bohaterem innej wyprawy maminej „na okopy”, w towarzystwie kawalera, który się o nią starał - minęło już sporo czasu od śmierci Taty. Ruszyli rowerami, przedłużyli pobyt, przepustki straciły ważność i na wartowni strzegącej strefy robót rowery zarekwirowano. Mama uznała to za złodziejstwo i mimo gorących sprzeciwów kawalera, „Marysia błagam Cię nie rób tego”, zdjęła pantofle, wśliznęła się do otwartej szopy i rowery okupantowi „odkradła”. A potem z duszą na ramieniu lasami, łąkami i bocznymi drogami gnali do Kalisza. Rowery przez kilka tygodni tkwiły zamelinowane na wypadek, gdyby złodziei dobra

Rzeszy szukano, ale Rzesza miała ważniejsze kłopoty. Gdy po kwarantannie dwuślad pojawił się w domu próbowano mnie przekonać, że to nowy, kupiony rower, nie ten zabrany przez Niemców. Ale pozostałem w niedowierzaniu.

Historia, którą teraz opowiem postawiła mnie przed pytaniem, na które nie mam odpowiedzi - czy sześćdziesięciolatek powinien wstydić się, za siebie – czterolatka? Bo właściwie popełniłem grzech zaprzaństwa narodowego, by móc obejrzeć jak mi się wydaje „Królową Śnieżkę” Disneya, albo jakąś bajkę do niej podobną, bo także z niemal identycznymi krasnalami. Uwielbiałem też oglądać kroniki, Wochenschau, pełne relacji z wojny. Stoimy, otóż z Jurkiem, moim kolegą rówieśnikiem pod opieką jego starszego brata w holu kina - wiele jeszcze lat po wojnie nazywało się „Stylowe” - z biletami w kieszeni, a tu wpada wataha hitlerjugend. Przypominali harcerzy, gdyby nie swastyki na przedramionach, ale ja wtedy nie wiedziałem, jak wyglądają harcerze. Podchodzili do czekających i wciskając „służbowe kije” w brzuchy pytali „dojcz?”. Jak nie „dojcz” to wynocha z kina, a mogli i kijem przyłożyć. Gdy przyszło na nas Jurek spurpurowiał i zapomniał języka w gębie, sytuację uratował starszy brat mówiąc „dojcz” i ja za nim tak samo, nie wiem, ze strachu, czy z chęci

obejrzenia wohenschau i krasnoludków, pewno z obu powodów po trosze. I tak oto, z kołyski ledwo wychynawszy, zaparłem się swego plemienia, który to czyn już wtedy musiał dotknąć do żywego jakiś mój patriotyczny gen, przez co wydarzenie nie tylko pamiętam, ale odczuwam jak mnie uwiera. Myślę, że chęć zaprzeczenia, nawet nieświadomiana, tej dziecięcej manifestacji konformizmu i uległości, jakoś mnie naznaczyła i określiła, w krew weszło mi „stawanie okoniem”.

Zanim jednak miałyby to szansę się w czymś przejawić omal nie skończyliśmy z moją szaloną, i kochającą mnie poza granice rozsądku mamą, w którymś z obozów koncentracyjnych. Był pobór na roboty do Niemiec i matka dostała powiastkę z Arbaitssamtu (Urzędu Pracy), że ma pakować walizki, oczywiście bez dziecka. Bez dziecka nie jadę, róbcie ze mną co chcecie – powiedziała urzędnikowi. No to do kozy – przyszedł żandarm, więc Mama mnie na wózek i tak jechałem - z tyłu ona, a obok żandarm w takim charakterystycznym pruskim czako - do miejskiego aresztu, secesyjnej „wachy” na starym rynku, którą po głupiemu, podobnie jak tego samego stylu sąsiednią remizę strażacką, zburzono za PRL – u, w latach siedemdziesiątych. Przesiedzieliśmy tydzień, podczas którego rodzina drżała z lęku i uruchamiała, jakie

tylko mogła chody, by nas z paki wydobyć. Być może pomogła ta wyklęta ciotka, folksdojkcza, ale prawdopodobnie wyreklamowała mamę fabryka, w której pracowała, jako spawaczka. To dzisiejsze WSK, a wtedy „Zollenwerke”, celinwerek, jak mawiano w Kaliszu, duże zakłady branży metalowej, zbudowane przez Niemców od podstaw i produkujące szybkostrzelne działka dla samolotów. Przeszeliwano je w nieodległej kopalni gliny ćwiczebną amunicją to znaczy pociskami niewypełnionymi materiałem wybuchowym. Po wojnie duże ilości tej amunicji zalegały płytko pod ziemią przy ogromnym wysypisku na tyłach fabryki. To było prawdziwe Eldorado dla chłopięcej społeczności z Zagorzynka i okolicznych dzielnic. Jeszcze o tym napiszę. Z pobytu w kozie pamiętam zupełnym okropną, z wielkimi badyłami kopru, i okrągłe okno, wysoko nad podłogą. Źle znosiłem zamknięcie, kto znosi je dobrze? Aby mi pustkę więzienia jakoś wypełnić sadzała mnie mama na tym oknie, bym mógł popatrzeć na aresztanckie podwórze. A tam jak raz robotnik rąbał drzewo, i bardzo go prosiłem; „Proszę pana, niech mnie pan wypuści, to ja panu pomogę rąbać drzewo”. On by mnie wypuścił, ale klucze miał kto inny. W końcu wyszliśmy – matka postawiła na swoim, wszystko skończyło się dobrze, ale zagrywka była pokerowa z

dzieckiem w puli. Nie wiem czy powtórzyłbym ją na miejscu mamy.

W kwietniu 1941 roku, głośny już przed wojną, zagorzynkowy złodziej „Kalita” poszukiwany przez Niemców natknął się przypadkowo na S.A. – mana Justa, z Niemców osiadłych od dawna w Kaliszu. Po wojnie chodziłem z jego synem do jednej klasy w szkole podstawowej, bo Justowie nie wyjechali do Niemiec, chyba nawet kolegowaliśmy się i kilka razy byłem u nich w domu, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że jakoś łączą nas dwie rodzinne tragedie. Just rozpoznał Kalitę, wobec czego ten go zastrzelił i zbiegł. Wydarzenie miało miejsce nocą, jakieś 100 metrów od naszego domu, koło kapliczki, przy tej alei lipowej prowadzącej do czerwonego dworku. W następnych dniach z ulicy zgarnięto wszystkich mężczyzn, spędzono ich do hali targowej i zaczęto dochodzenie mające zabójcę przyskrzynić. Wedle opowiadań mamy ojca zadenuncjowała kobieta, kochanka Kality. Miała powiedzieć, że Tata wiedział, gdzie się on ukrywa, lecząc ranę po postrzeleniu w czasie ucieczki przed ścigającymi go Niemcami, za wcześniejsze zabójstwo niemieckiego oficera. Nie wykluczam, że wiedział, bo pewno wiedziała cała ulica. A, że nie doniósł? Może się bał, że zabiją go koledzy Kality, a może nie doniósł, bo był to, co prawda złodziej, który i jego okradał, ale jednak

swój, a szukali go wrogowie, za to, że utłukł jednego, czy dwu z nich. Ojciec powędrował do Oświęcimia, jako więzień polityczny, przeżył dwa i pół miesiąca. Denuncjatorka miała większe szczęście. Gdy przyszli Rosjanie, żołnierze kwaterujący u nas pytali matkę o męża i kiedy usłyszeli od niej tę historię powiedzieli: „Ty nam Pani tylko pokaż tę swołocz i my zrobimy z nią porządek”. Ale mama się zemście ponieść nie dała, i winna nieszczęścia rodziny ocaliła skórę, nawet o tym nie wiedząc. Byłem przekonany, że jedynym śladem po taty tragedii zostaną zapamiętane przeze mnie opowieści Mamy. Ale oto okazało się, że w kaliskim Archiwum Państwowym są nie tylko akta jego sprawy, ale wszystkich osób z Częstochowskiej, aresztowanych po tym wydarzeniu. Potwierdziły i wzbogaciły to, co wiedziałem. Dwudziestego kwietnia 1941 roku Maria Sobczak, o której ulica wiedziała, że jest kochanką Kality, zeznała w śledztwie, że to Ojciec powiedział jej, gdzie się zabójca ukrywa. Cztery dni później go aresztowano. Z protokołu przesłuchania, lakonicznego, poplątanego, nawet po upływie sześćdziesięciu lat tchnie lękiem człowieka, który czuje, że zawisa nad nim śmierć. I te pisemne komentarze hitlerowskiego śledczego, który chce mieć winnego, który wie z góry, że złapał jednego z tych, co trzeba i wykazując się wobec

zwierzchności przesądza, że Kuczyński kłamie i sprzyja bandycie. Po wojnie próbowano zrobić z Kality patriotę i bohatera, ale szybko zorientowano się, kim był naprawdę. Był małym złodziejaszkiem, okradającym z grupą kumpli sklepiki, kurniki i drwalniki, takim, o których poważni złodzieje mawiali, kiedy siedziałem na Rakowieckiej w roku 1968, że mają wyrok za AK - „a kury, a kaczki”. Podobno był sympatyczny i uczynny – jedną z moich kuzynek douczał matematyki. Bandę doskonale znano w okolicy – pewnej nocy wybili dziurę do drwalnika Hybsiów i ukradli króliki, także ulubieńca syna ciotki Feliksy, który bardzo po jego stracie płakał. „Pani, niech pani oddo chociaż tego stefanowego królika, bo un tak za nim płacze” – prosiła ciotka żonę jednego ze sprawców. „Jo to bym nawet oddała pani Hybsiowo, ale niech Pani patrzy un się już w gorku gotuje”.

Tata w swej kalwarii przemierzył kilka więzień; Radogoszcz, jakieś jeszcze jedno, a na początku kaliskie, mini fortecę, zbudowaną w XIX wieku w ramach więziennej, humanitarnej, reformy hrabiego Fryderyka Skarbka. Za okupacji miało opinię ciężkiego. Przejeżdżając wózkiem spacerowym obok tego więzienia miałem podobno złorzeczyć na Szwabów, „którzy zamknęli tu łatyndę”, tak w swej dziecięcej pierwszo-mowie nazywałem tatę. W archiwum więziennym nie został

po nim ślad. Dwudziestego szóstego września 1941 roku transportem zbiorowym przywieziono go do Oświęcimia. Był więźniem politycznym – „P, Pole” - miał numer 21104. Zmarł czwartego grudnia 1941 roku, przeniesiony wcześniej, nie wiem, dlaczego, do bloku 11 nazywanego „blokiem śmierci”. Zawiadomienia o zgonie, które też się gdzieś rozplynęło, podobnie jak kilka listów pisanych po niemiecku, z tym samym początkiem; „jestem zdrow i czuję się dobrze”, jako przyczynę wymieniało zapalenie płuc, albo tyfus. Prawdy nigdy nie poznaliśmy. Mama, według słów Marysi Wichrowej, na prośbę dostała z obozu prochy ojca, może i jakaś jego cząstka tam była. Miała je przechowywać wiele lat w domu, aż pochowała je w rodzinnym, grobie na Zagorzynku. Nie pamiętam żeby mama mi kiedykolwiek o prochach ojca leżących w domu mówiła. Nie umiem wytłumaczyć tego milczenia. Z zaginionych listów dotarły do mnie jedyne słowa Taty, słowa, świadectwa ojcowskiej miłości; „Marysiu opiekuj się i dbaj o nasze dziecko”, ta i podobne myśli powtarzały się chyba w każdym. Dzięki nim wiem, że byłem w jego myślach i troskach w czasie dla niego najgorszym, tragicznym. Gdyby nie one mógłbym się tego tylko domyślać, a tak wiem i ta pewność sprawiła, że choć go nie zapamiętałem, to jednak czułem i czuję, że miałem ojca, a to coś

znacznie więcej niż tylko wiedzieć.

Już w grudniu 1939 roku zaczęły się w Kaliszu wysiedlenia z domów, mieszkań i deportacje do Generalnego Gubernatorstwa. Przez całą wojnę wysiedlono 30 tysięcy osób, a na roboty do Niemiec pojechało 4 tysiące. Kiedy nas wysiedlono nie wiem, Tata albo już nie żył, a na pewno był aresztowany. Mama po krótkiej tułaczce od mieszkania do mieszkania przeniosła się ze mną do babci Pecoldowej, na ubogie przedmieście po innej stronie miasta, leżące na wzniesieniu, z którego widać było rozłożony w dole gród nad Prosną, z wieloma górującymi wieżami kościołów. Ten zakątek, który był światem mojego dzieciństwa, a potem jeszcze ze dwu lat chłopięcych, poza biedą, stanem jednak lepszym od nędzy, niczym szczególnym się nie wyróżniał. Miał wszelako, obok domku babci, kilka miejsc, wokół których owinęły się pierwsze moje wspomnienia. Główną ulicę wiodącą do miasta, nieco bliżej niego pokrytą kocimi łbami, a w moim świecie jeszcze piaszczystą, zależnie od pory roku kurzącą, błotnistą, pełną kolein zrobionych przez chłopskie wozy zdążające do Kalisza na targ. Po ciepłych deszczach gromada dzieciaków z trudną do zrozumienia, ale z miłą do wspominania na emeryturze, pasją i rozkoszą taplała się w ulicznym błocie, to zamieniając je w ciasto do

jakichś wypieków ze świata bajek, to znów złościąc kanały i budując tamy chwilowych zlewisk i dopływów wodnych. Zdarzało się jednak i nieszczęście, kiedy palec od nogi trafiał na ukryty w piasku kamień. Stłuczenie palca pamiętam, jako jeden z największych bólów dzieciństwa. Kiedy podrośliśmy ulica zaczęła pełnić rolę pola bitwy, na którym rozstrzygane były wszystkie większe konflikty wybuchające między chłopięcymi plemionami. Bronią „chłopcy z ulicy” posługiwali się cięższą i groźniejszą, niż ci z „Placu Broni”, bo kamieniami. Walczono do pierwszego kamienia na głowie członka któregoś z walczących plemion, po czym był głośny ryk, a zwycięskie plemię wiało z placu boju, by uniknąć ciężkiej ręki ojca zwabionego krzykiem uszkodzonej latorośli, albo poskarżenia do matki o łobuzerstwie, bo i to zagrażało laniem.

Był też wiatrak, pełen sił i wigoru, choć prawdziwy zabytek. W wietrzne dni szum jego skrzydeł słyhać było z kilkuset metrów, a gdy wiało lekko można było ucześcić się skrzydła i podfrunąć z nim, byle nie za wysoko i tak, by w czas umknąć przed następnym skrzydłem. Wiatrak był miejscem zboru dzieciarni. Gdzie jest Jutek? „Kole wiatroka” - tak to brzmiało. Kiedy nie pracował służył jako plac zabaw, można było się pobujać na długim drażu do obracania, wleźć pod

wiatrak i połączyć po imponujących masą i skalą drewnianych belach tworzących jego podstawę. Przyjemnością porównywalną z malowaniem płotu u Tomka Sawyera w zamian za kulki i kartki z sentencjami biblijnymi, było pomaganie staremu młynarzowi w obracaniu kolosa do wiatru przy pomocy kołowrotu poruszanego drągiem, do którego, dorastając, po kolei z kolegami sięgaliśmy. Niestety, wyrastając słabo, musiałem na tę przyjemność czekać dłużej niż moi rówieśnicy. Kulek i sentencji młynarz nie żądał, choć mógłby, bo jego syn, nieco młodszy od nas, „młynorzem” zwany, chciał być księdzem i, naśladując proboszcza, wygłaszał kazania stając na płocie, zwykle rozpoczynane słowem „kochani parafianie”, a dzieciarnia robiła sobie z niego prześmiewki. Wiatrak padł w beznadziejnym pojedynku z władzą ludową, ale walczył dzielnie, bo przetrwał Hilarego Minca i „bitwę o handel” 1948 roku. Chyba dopiero za Gierka zabrakło dla niego pracy. Potem niszczał, rozpadał się, nikał z horyzontu. Przez wiele lat jadąc do Kalisza Szosą Turecką wypatrywałem go, a jego coraz bardziej nie było. Jednak nie wszystek przepadł, część wiatrakowego serca kupił ewangelicki pastor z Kalisza i w Chełmcach, jak powiedziała mi jedna z sióstr młynarza, na widocznym z daleka wzniesieniu z dwu wiatraków powstał jeden. I stoi, i się kręci.

Z ogrodem babcinym sąsiadowała kamienica, ceglana, czerwona, miała osiem mieszkań, jakby dziś powiedzieć, bez wygod, także bez elektryczności. Jedyne piętrowy budynek w okolicy, następny był kilometr dalej przy wjeździe do miasta, ze sklepem; „spożywczo – kolonialnym”. Do kogo należała nie wiem, po wojnie do władzy ludowej. W kamienicy, poza kilkoma dziewczynkami w naszym wieku, przydatnymi głównie do zabaw „w doktora” – to ciekawe, zawsze były pacjentkami - mieszkał wspomniany „Jutek”, Józek Tylczyński, przez starszego brata, „śnuptusiem”, od śnupki, czyli mordki, zwany. Krzywił się na to, bo brzmiało niedorośle, ale zasadnie, zważywszy pułkowość „Jutka”, mojego, tak chyba mogę powiedzieć pierwszego kolegi-przyjaciela. „Mama, koza jscy na mine” – brzmi mi w uszach przerażony krzyk „Jutka”, gdy pasąca się na rowie koza obsikała porzucony niemiecki granat do ciężkiego mózdzierza. Granat zachował obojętność. Czwórka Tylczyńskich mieszkała w jednej izbie, 20 metrów kwadratowych, szafa, komoda, dwa łóżka zasłane wysoko pierzynami i poduchami, nad nimi dwa święte obrazy, Jezusa i Matki Boskiej, z sercami na wierzchu, w środku czerwona lampka oliwna. Do tego kuchnia węglowa i piec zwany do tej pory kozą, którego paliwem na równi z węglem, był chrust i szyszki taszczone przez mamę „Jutka”,

tegą, niską i równie pucułowaną jak jej syn, z odległego o kilka kilometrów lasu w Nędzerzewie, zwanego „nędzą”. Do „nędzy”, przynajmniej raz w tygodniu zmierzały grupki kobiet z okolicy i wracały objuczone, przytłoczone drewnianymi garbami owiniętymi w płachty. Oprócz kilku wychodków w podwórzu, do dyspozycji mieszkańców było parę chlewików zamieszkiwanych oczywiście przez króliki, kozy i trochę ptactwa, także gołębie. „Gołębiarze” z kamienicy lubili podrywać, gwizdem lub klaskaniem, ich pupilów do lotu i patrzeć jak krążą po niebie i porównywać i spierać się, które stadko robi to najładniej, najbardziej harmonijnie, i czyj „pocztuch”, gołąb pocztowy, z jak daleka potrafił wrócić do gołębnika. Przed nadejściem zimy chlewiki skrupulatnie ogacano suchymi łęciami zebranych z okolicznych kartoflisk. „Jutek”, dzięki wrodzonemu, a może nabytemu, zamysłowi praktycznemu bardzo się ogacaniem zajmował. Podobnie, jak wbijaniem każdego zdobytego i nadającego się gwoźdza, w podeszwy trzewików by nosiły się, jak najdłużej bez zelowania, bo to sporo kosztowało. Skarbem największym były gwoździe od butów żołnierskich, krótkie o łebkach przypominających małe grzybki, trzewiki nie tylko mniej niszczały, ale jeszcze stukały, jak u prawdziwych żołdatów. Niemcy uciekali z Kalisza w panice porzucając

na polach cięższą broń, także karabiny maszynowe i my z „Jutkiem” pewnego marcowego dnia znaleźliśmy na rozmiękłym polu, taki MG na rozstawionych nóżkach skierowany w stronę z której nacierała Armia Czerwona, ze skrzynią obok, pełną taśm z nabojami. Bardzo chcieliśmy postrzelać i wtykaliśmy tę taśmę we wszystkie możliwe szczeliny, ale do żadnej nie pasowała, na szczęście, bo mogliśmy zrobić krzywdę sobie lub komuś przypadkowemu. Zniechęceni próbami zostawiliśmy karabin, tak jak go znaleźliśmy. Kiedy w 1989 roku, pierwszy raz od wielu lat, odwiedziłem czerwoną kamienicę, znalazłem „Jutka” z zaawansowanym Parkinsonem i zaraz na początku, mówiąc z trudem i bardzo niewyraźnie, wrócił do naszych nieudanych mocowań z niemiecką „maszynką”, jakby to było dopiero co, jakby ten karabin ciągle tam stał z lufą na wschód, a przecież w międzyczasie przewinęła się lwia część naszego życia, jego prawie całe, zmarł kilka lat później.

„Jutek” nie jest jedynym moim sentymentem czasu wojny. Była jeszcze Ulryka, starsza ode mnie córka Kopeckich – piszę tak jak wymawiano – niemieckiej rodziny, przybyłej w ramach germanizacji Kraju Warty, podobno, aż z Rumunii. Pewno z Besarabii, która przy podziale Europy Środkowej dokonywanej przez Hitlera i Stalina miała przypaść Związkowi Radzieckiemu i Niemcy – podobnie jak z republik

nadbałtyckich – wycofywali stamtąd swych współplemieńców, często wbrew ich woli. Wspomnienie należy się też Lincowi przybyłemu ze Śląska, u którego jako pomoc domowa pracowała najpierw mama, potem ciotka Hanka, jej siostra a moja Chrzestna. W rodzinie została po Lincu dobra pamięć i taka oto opowiadana przez niego scenka, gdy jako dziecko próbuje „dla zgrywy” zadzwonić do kogoś i nie może sięgnąć dzwonka. Pomaga mu przechodzić – „No, i co teraz ? Teraz to trzeba pierunym uciekać !”. Kopecy – wróćmy do nich - przejęli domek po wysiedlonych Polakach, prawie po sąsiedzku z babcinym. Mieli dwie córki; Ulrykę, starszą Martę i dwu synów. Między dziadkami, a Kopeckimi nawiązała się przyjaźń, która trwała aż do ich wyjazdu z Polski, jakiś czas po wejściu Rosjan. Stary Kopecki nienawidził Hitlera, pewno za wyrwanie go z rumuńskiej ojczyzny i rzucenie w wojenną zawieruchę, która nie była jego sprawą. Nienawidził i nie ukrywał tego przez dziadkiem Ignacym mówiąc; „Panie Pecold, Niemcy zapłacą za tę wojnę straszłą cenę”. Kopecy też zapłacili – obaj ich synowie przepadli na froncie wschodnim; Helmut i Fryderyk, ten do którego miałem mieć pretensje, że zjadł przeznaczone dla mnie ciastka, kiedy zjawił się w domu na krótką przepustkę. Widzę, jak przez mgłę Panią Kopecką, gdy z rozbawieniem przypomina to wydarzenie. Widzę też

ich starszą córkę, brunetkę, urodziwą, z pięknymi warkoczami, które wloką się po ziemi, gdy kilku rosyjskich żołnierzy przynosi ją do babcinego domu nieprzytomną, nie wiedziałem co się z nią stało, dziadkowie zachowywali się dziwnie. Była zgwałcona, gdyby mi powiedzieli i tak nie wiedziałbym co to znaczy. W odróżnieniu od Marty, której obraz utrwalił we mnie ten dramatyczny moment, Ulrykę widzę, jak rozmazaną postać, głos z głębi czasu podpowiada mi, że była blondynką, ale czy była? Wiem, że towarzyszyła mi, a raczej przewodziła w zabawach, w jedynym strzępie pamięci, wyższa ode mnie, prowadzi mnie za rękę - gdzieś, po coś. Może to ona uczyła mnie pięknej niemieckiej kolędy „O Tannenbaum...”, ale mogłem też poznać ją w niemieckim przedszkolu, w ”ochronce”, jak wtedy mawiano. Trafiłem do niej po jakiejś awanturze między matką i babką. Skutek był taki, że przez pewien czas siedząc na owiniętej kocem i obwiązanej sznurkiem ramie roweru, jeździłem z matką do pracy, a pracowała wtedy w pralni, jako prasowaczka. Matka i koleżanki, były też tam Ukrainki – śpiewające jakieś smętne, a może patriotyczne, pieśni o Ukrainie, w której kiedyś „hremiły harmaty gdes na Ukraine”, całe to towarzystwo chowało mnie pod stół, jak szedł majster, bo obecny byłem „nielegalnie”. Z niemieckiej pralni pochodzi moja technika

prasowania koszul, przejęta od mamy i dobrze przećwiczona przez lata praktyki – najpierw kołnierzyk, za nim karczek, rękawy i mankiety, po nich boki i na końcu plecy koszuli, ot co. W jakiś czas potem schowek w pralni zastąpiła „Ochronka” mieszcząca się koło Proсны, w budynku, gdzie potem przez lata był Miejski Dom Kultury – emdek. Z pobytu w ochronce zostały mi dwie sceny. Pierwsza kiedy mówię, jakiś wierszyk, chyba po niemiecku stojąc przed panią wizytator, która jako mi się, jako kobieta surowa i władcza, bardzo ważna figura, a po wierszyku wręczam jej prezent papierową torbę z agrestem w środku i zbieram od niej pochwał. Nie wiem skąd był ten agrest, może z ogrodu mojej babci. To na pewno był rok 1944. I druga scena, kiedy „ochronkową” gromadą, pod okiem Frau, bawimy się w kaliskim parku jordanowskim – tak go nazwano po wojnie – gdy rozlegają się syreny alarmowe i wśród głębokiego basu motorów niebo pokrywa ogromna ilość, tak to wtedy odbierałem, srebrnych samolotów, za którymi ciągną się jakby smugi jasnego dymu. Chyba też leciały takie srebrzyste pasma, coś, co miało zakłócać radary, a co potem było zabawką dzieci, bo pełno tego leżało wokół. Opiekunka, jak kwoka, zbija nas w kupkę i wszystkich łącznie z sobą przykrywa kocem. Samoloty odlatują, a po chwili znacznie niżej gna za nimi jeden czarny kolorem i z krzyżami na

skrzydłach. Pamiętam, że wydawało mi się to wtedy śmieszne, ta srebrna masa i ten jedynak. Nie mieliśmy pojęcia, dokąd leciał ten aliancki dywan. Krzysztof Walczak, kaliski historyk, z którym rozmawiałem zbierając materiały powiedział, że był to przelot samolotów dla walczącego ZSRR. Ale sądzę, że widziałem raczej największą, podjętą we wrześniu 1944 roku, liczącą 101 amerykańskich samolotów, wyprawę zrzutową dla walczącej Warszawy, przeprowadzoną kiedy Stalin wreszcie zezwolił na lądowanie alianckich samolotów na lotniskach zajętych przez Armię Czerwoną.

W styczniu 1945, gdy dogasały zgliszcza Warszawy, ruszyła rosyjska ofensywa zimowa. Oczywiście nie miałem o tym pojęcia, ale słyszałem jak dorośli mówią coraz częściej, że „frunt idzie i Niemcy bydum uciekać”. Pewnego dnia w ciszę spokojnego przedmieścia kaliskiego, wplótł się dźwięk nie pasujący do zimowej pory, jakby pomruk nadciągającej z daleka burzy. To właśnie „szedł” front, dokładnie zagon pancerny I Frontu Białoruskiego pod marszałkiem Żukowem. Zanim przez chwilę zobaczyłem „jak przechodzi” rozpląszczyła mi się na ubranku kromka „chleba z masłem i posolonego” – bardzo lubiłem ten zestaw i tak odpowiadałem, gdy mama pytała, co bym zjadł. Stało się to, gdy siedziałem na oknie u

ciotki, tuż przy rzece, dwieście metrów od betonowego mostu przez Prosnę, właśnie z wielkim hukiem wysadzonego przez Niemców. Burza nadchodziła szybko, aż przyszedł jeden mroźny, śnieżysty dzień, gdy kule zaczęły świstać w moim zakątku. Cała rodzina schroniła się do niewielkiej piwnicy i przez małe piwniczne okienko, poprzez padający śnieg i być może także nadchodzący mrok, widziałem liczne sylwetki niemieckich żołnierzy w długich zimowych płaszczach uciekające przez pole przed kimś, kogo nie było, i niektóre z nich padające, także jakby nie wiadomo, dlaczego. Nad ranem pola opustoszały, kanonada umilkła, było znów tak cicho jak zwykle, już byliśmy między frontami, ale jeszcze o tym nikt nie wiedział. Rodzina wyszła ze swej wątpliwej kryjówki, a ja pobiegłem na ulicę, była pusta. A jednak coś się działo - od okolicznych wiosek, ku którym wiodła droga niknąca za wzgórzem, dochodził coraz głośniejszy pomruk ciężkich motorów i nagle zaczął wyłaniać się wąż ciężarówek i czołgów. Mama wywabiona z domu hałasem, porwała mnie za rękę przerażona, że to jeszcze Niemcy, że zrobią mi krzywdę, i chciała uciekać. Lecz oto na wieżycach czołgów ukazały się czerwone gwiazdy, a na pancierzach siedzieli gęsto żołnierze zupełnie inni od tych, których oglądała przez pięć lat. Na przedmieścia Kalisza, do mojego dzieciennego świata, wjeżdżała Armia

Czerwona. Przez ryk motorów przebijały się dźwięki żołnierskiej harmonii, „harmoszki” i „Katiusza” - „Lilli Marlen” frontu wschodniego. Było, jak w socrealistycznym, wojennym landszafcie. Mama na widok czerwonych gwiazd wprost oszalała z radości; „ruskie!, rusoczki, kochane!! – krzyczała na cały głos, machała im rękami. Nie ważne było, co będzie, ważne było jedno – skończył się szwabski koszmar, można go było wyrzucić z siebie, w takim choćby radosnym spazmie powitania. Ci żołnierze nieśli wolność, bo wtedy jeszcze, dla takich prostych ludzi jak moja mama, wolność oznaczała jedno; wolność od Niemców. Wkrótce potem, ale dopiero potem, okazało się, że będzie inaczej. Moje pierwsze zetknięcie z żołnierzami rosyjskimi było słodkie, dosłownie, dostałem kilka tabliczek niemieckiej „trofiejnej”, zdobycznej czekolady. Dali mi ją radiotelegrafisci, którzy z babcinego domku nadawali tajemnicze komunikaty, z których jeden - „Ja karta, ja karta, prijom, prijom, prijom!!” – utkwiał mi w pamięci. Nie było w nim nic niezwykłego, telegrafista oznaczony kryptonimem „karta”, czyli mapa, kogoś wywoływał. Może ten ktoś podał dane, gdzie ma walnąć armata, postawiona koło domu dziadków. Jak grzmotnęła to szyby poleciały z okien. Zostało po niej też kilka dużych łusek, które służyły mnie i

„Jutkowi” za czołgowe działa. Wieżycą było opatrzone w drewniane drzwi, czoło ziemnego kopca, w którym chowano zimą kartofle, buraki, marchew. Armata strzelała w kierunku miasta, pewno jeszcze trzymali je Niemcy, ale nie zawzięli się na Kalisz, jak w 1914 roku, gdy, jako pierwsze zdobyczne miasto, całkiem je spalili. Dwudziestego trzeciego stycznia gród nad Prosną był w rękach rosyjskich, praktycznie nie uszkodzony. Najbardziej widoczną raną, była wieża kościoła św. Józefa, której szczyt zmiotł armatni pocisk, może ten wystrzelony z pod babcinego domu? To by nawet nadało pewien dodatkowy sens pracy dziadka Ignacego przy odbudowie tej wieży, o czym zaświadczało jedno ze zdjęć rodzinnych. Oglądałem je w młodości, potem straciłem z oczu, i „odkopałem” podczas wykopalisk rodzinnych na potrzeby tej opowieści. Do rodzinnego domu na Zagorzynku, nie wróciliśmy od razu, bo po niemieckich kolonistach, którzy uciekli, dom zajęto na kwatery dla żołnierzy rosyjskich, ale było jasne, że do rozwalonego przez śmierć Taty gniazda wracamy. To znaczy, jasne było dla Mamy dla mnie mniej, bo moją małą ojczyzną była Ulica, Wiatrak, Kamienica, Jutek i inne dzieciaki. Ale cóż, przyszedł czas przenosin na odległe od wiatraka przedmieście, i po pożegnaniu z „Jutkiem” które pamiętam, bo płynęło dużo łez znalazłem się na Zagorzynku, na ulicy

Częstochowskiej, którą co roku na początku sierpnia przemierza pielgrzymka kaliska w drodze na Jasną Górę i to jest dla ulicy wielki, uroczysty dzień. Miałem niespełna sześć lat i pierwszy raz odkrywałem miejsce urodzenia.